

Trykot/Poprzedni kochankowie

„Nienawidzę swojej maski, nie przestaję o niej jednak pisać,
ale tylko dlatego, że nie mam innych twarzy do opisania”.

Jean Cocteau

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że coś z tamtego cyrku jednak pozostało; z pewnością nic wielkiego, żaden tam bicz albo i lustro, ale, powiedzmy, zakolebania w powietrzu po figlach linoskoczków; ziarenka piasku, meandrujące nad ziemią w chwili po zrzuconiu przez węża skóry; lub chociaż echa braw, suchy pogłos pęczniący nad rozpadliną areny. Tymczasem nie; tymczasem jest inaczej. Bilety, to prawda, zostały wyprzedane, a rubinowy namiot pieczętowanie rozpięty na planie trójkąta ABC; nie zjawili się jednak żaden z zaproszonych gości, a ci, którzy przyszli, prędko uciekli spod zakopanaj w miętym piasku widowni, zwabieni ciepłem nocy, którego te okolice zostały pozbawione. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że coś z tego cyrku jednak pozostało; z pewnością nic wielkiego, lecz chociaż, dajmy na to, jakieś figury, zapachy, jakieś miny, gesty. Tymczasem nie; tymczasem jest inaczej i jedyne, co wytrzyma próbę wolnej od pamięci weryfikacji, to tylko trykot, różnokolorowy i wyblakły, porzucony, zgrzebnny trykot, pamiątka po smutnych klaunach i ich występach, tych samych, których dziś nie będzie, chociaż zabawa, uwierzcie mi, byłaby pewna.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że nie różni się on za bardzo od trykotu, jaki zapamiętaliście z czasów, kiedy jeszcze przychodziliście do cyrku, widując mnie czasem niedaleko areny, na długo przed tym, nim zająłem się tresurą węży. Technicznie rzecz biorąc, macie wiele racji. Choć lycra, to prawda, z wiekiem szorstkowiata, jej biel nie jest już bielą, a grochy, sinusoidy i rubinowe trójkąty sprawiają wrażenie tkanych z mniejszą aniżeli kiedyś pieczętowością, trzy punkty ABC – od dłoni do dłoni, a także w okolicach krocza – nadal wyznaczają granice tych samych ściegów i jedyne, czego brakuje, to może jakiegoś ciała, szczupłego i androgenicznego, które można by opiąć wyblakłym materiałem. Ciało; jakieś ciało: niekoniecznie piękne i niekoniecznie zwieńczone subtelnym owalem twarzy. W czasach, kiedy przychodziliście do cyrku, ciała klaunów nie różniły się za bardzo od siebie. Działo się to na długo przed tym, nim zacząłem kolekcjonować węże, a moi kochankowie zostali moimi poprzednimi kochankami; lubiłem u nich wówczas makijaż – upodobanie niby niegroźne, ale też i nie całkiem bezpieczne, a zabawa pewna.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że z trykotu, jaki zakładali oni przez trzy wieczory przedstawienia, można by wysnuć wiele odpowiednich fabuł i gdybyście jednak zjawili się dziś w tym cyrku, nie wątpię, że wysnuliście je. Chociaż tamci chłopcy

– A., B., C. – nie byli gwiazdami, których nazwiska umieszcza się na afiszach, by ich koledy szkolni mogli odwiedzić ten cyrk razem ze swoimi kobietami – doskonale pamiętacie ich życia, jak zresztą wszystkie życia, których nie przeżyliście. Żaden z tego jednak hymn pochwalny na cześć waszej pamięci – gdybyście przyszli, rychło musielibyście przypomnieć sobie, że te istnienia, te sztuczki – ich miny, ich facecje – nie bardzo się od siebie różnią. Grymas A. w makijażu bardzo przypomina maskę, którą zwykł zakładać B.; ta z kolei wymalowana została podług wzoru, za który posłużyła twarz C. Upodobnienie się do siebie, tak by nikt, nawet pusta widownia, nie zauważyła (różnicy) – zboczenie niby niegroźne, ale też i nie samotne, więc zabawa pewna.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby wam się, że kiedy dzisiejszego wieczora nie wyszli na arenę, z mojej pamięci, mojej kolekcji węzowych skórek pozostał tylko trykot i tak jest w istocie, nic ponad niego w pamiętce czasów, kiedy jeszcze przychodziliście do cyrku, wiedzeni koszmarną nudą, tą samą, która dziś kazała wam opuścić rubinową rozpadlinę namiotu. Było to dawno, zapewne w okresie dorastania, kiedy ciągle wydawało się wam, że macie jakieś życie; cyrk nie przypominał wam wówczas miejsc, do których zazwyczaj zachodziliście na długie godziny pierwszych wtajemniczeń, był pełen soczystych kolorów i faktur, jaskrawych jak świetliki, te ulotne metafory osobowości. Tak właśnie go zapamiętaliście: jako zbiór kolorów. Zresztą, trudno wam się dziwić. Byliście młodzi, ironiczni, świetnie umalowani – Armani, Burberry, Chanel – i ciągnęły was wówczas trykoty, oj, niewątpliwie, ciągnęły was. Opiąć nim swoje ciało, tym jednym, określonym: pełnym spłowiatach dzisiaj grochów, podówczas barw, jakich od dawna nie doświadczyliście, a przecież pełno ich wokół. Dziś, kiedy nie siedzicie na zagrzebanej w miętym piasku widowni, chcielibyście, aby znów was kusił, i były na nim grochy, kwadraty, rubinowe sinusoidy wijące się jak zrzucona przez węża skóra. Nie chcecie, aby znów był trykotem sprzed lat, kiedy jedno pragnienie wygrały z innymi; niech będzie trykotem wyciągniętym z garderoby dzisiaj, kolorowym i – nie wahać się użyć tego przymiotnika – pięknym, choć użytym podług nie najnowszej już mody. Poczuc, jak jego ubogie ściegi zbyt mocno wbijają się w zużyte inną, nie cyrkową sztuczką ciało; zabawa może nie najzdrowsza, ale przynajmniej pewna.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby wam się, że skoro arena pusta, sami łatwo moglibyście na nią wskoczyć i poigrać z różnokolorowym strojem, pouprawiać tę dziwną odmianę samotnej miłości. Swego czasu, zapewne w okresie dorastania, na długo przed tym, nim zajęłem się kolekcjonowaniem węzowych łusek, pragnienie to było wyjątkowo silne, wręcz rozrywało ubogie granice ciała i rozwarłej między ABC przestrzeni. A gdyby tak, myśleliście, a gdyby tak wyjść tam, założyć tamten trykot i cały czas wyczyniać sztuczki, jakie geometria jego ściegów czyni bolesnymi? Cyrk w waszym miasteczku zatrzymywał się na trzy wieczory, ABC, i nie przegapialiście żadnego przedstawienia, choć bilety nie były tanie; niemniej jednak zabawa pewna, zwłaszcza w tym momencie, gdy na arenie pojawiał się trykot, gdzieś pomiędzy drugim a trzecim aktem błazenady.

Na pierwszy rzut oka zniknął niedługo potem, kiedy zaczynały się sztuczki z boa dusicielem. Wtedy zazwyczaj wychodziliście, choć nie zniknęła w was chęć poigrania z materiałem, tym samym, który budził niejaką odrazę. Jakiś niedosyt; powinien się pojawiać, to nieomal warunek. Wszystkie inne zostały wszak spełnione: czas nasycony, nuda odepchnięta, rozrywka, choć tania, rozmieszyła do łez. Niedosyt; jakiś niedosyt; wiecie już, czym jest. *Lepiej* – brzmiał ostatniego wieczoru komentarz do sąsiada z czwartego rzędu – *lepiej by było w ogóle tu nie przychodzić, może w formie nauki, że coś takiego jest*. Faktycznie, może lepiej: cyrk w waszym miasteczku zatrzymywał się na trzy wieczory, chociaż afisze zwykły obiecywać czwarty. Publika, jak wiadomo, nie dopisałyby jednak na koncercie pełnym węży, każdego innego, skupiona na powolnej, ślamazarnej masturbacji strojem, jaki może mieć każdy, jedyną pamiątką po tym, że mógł go zastąpić trykot, jeden trykot, radosny i przeznaczony dla radości kogoś innego, którego zabawa – o tak – byłaby pewna, chociaż wy, to prawda – wy byście cierpieli. Wystawiać się na pośmiewisko; z radosnym uśmiechem obserwować krzywe spojrzenia; ironizować, szydzić; czuć dziwny rodzaj spełnienia, wszyty w fakturę niejednorodnych, kolorowych nitok, ten sam, po którym publiki nie słyszą, choć wasza zabawa, na pierwszy rzut oka od niej uzależniona – jest pewna.

Jest, kiedy zdejmie się z tego cyrku rubinową rozpadlinę namiotu, wiele ziaren piasku, gdzie widać się zrzuczone skóry ciężkich węży boa, jest jakaś pustynia, *déserte*, szydercze szemranie: *nie kończy się, uciekaj, dalej w diabły stąd*. W przyszłości misje archeologiczne odnajdą zagrzebany pod ciepłym piaskiem trykot, sumiennie przypisując go dziedzictwom którejś z tych słabostek, która bawiła, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wchodzącego pod namiot tylko po to, by jak najszybciej stąd wyjść, choć przecież mógł zostać do końca przedstawienia, choć przecież mógł zostać.

kwiecień 2010



Jana Bečková